

Maja Białek: Sherlock Holmes. Historia miłości i nienawiści

Najważniejszy w opowiadaniach o Sherlocku Holmesie jest... Watson. Sancho Pansa naszego rycerza. Nasze, zwyczajne, oczy i uszy. Nasz przeciętny intelekt. Żeby zabić Holmesa, Arthur Conan Doyle powinien był zabić Watsona. Jakie to szczęście, że nigdy na to nie wpadł – pisze Maja Białek w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Kryminał. Gatunek dla filozofa”.

Sherlock Holmes urodził się prawdopodobnie w roku 1854 – ale jego biografowie wciąż się o to spierają. Niemal wszyscy natomiast sherlockiści, holmesiści i holmesolodzy zgadzają się co do daty dziennej. Musiał to być 6 stycznia, Trzech Króli, ponieważ tylko tę sztukę Szekspira (która święto to ma w tytule), cytuje Holmes aż dwukrotnie w opowiadaniach i powieściach, a także, ponieważ co najmniej raz – 7 stycznia nie miał ochoty na śniadanie. Dlaczego? Prawdopodobnie poprzedniej nocy zbyt hucznie świętował swoje urodziny.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.
Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Z pewnością hucznie świętuje je co roku największy i najstarszy fandom świata. Pierwsze przyjęcie amerykańskich fanów, którzy nazwali się na cześć pomocników Holmesa, *The Baker Street Irregulars* odbyło się jeszcze w roku 1934, a uczestniczyli w nim wyłącznie panowie w średnim wieku, należący do amerykańskich elit intelektualnych i finansowych. To oni zapoczątkowali wspomnianą wyżej „holmesologię” – początkowo żartem, z czasem coraz poważniej prowadzone badanie nad tym, czy da się na podstawie opowiadań Sir Arthura Conana Doyle’a złożyć spójną historię, czy wszystko mogło się zdarzyć tak, jak to opisał, jakim pociągiem musiał jechać Holmes w *The Boscombe Valley Mystery* i dlaczego żona Watsona w jednym opowiadaniu myli jego imię. Dziś fandom Sherlocka (bo od czasu współczesnej wersji BBC, której pierwsze odcinki wyemitowano w roku 2010, wszyscy się bardziej z nim spoufalamy) składa się głównie z młodych kobiet, i obejmuje dosłownie każdy zakątek świata, łącznie z Polską i Japonią.

Adaptacja z Benedictem Cumberbatchem niewątpliwie przypomniawszy wszystkim dobitnie, jak wielkie uwielbienie może wzbudzać detektyw Doyle’a. Jest ona tylko jedną z niemal niepoliczalnie wielu wersji historii o Sherlocku Holmesie. Już w 2012 roku detektyw ustanowił oficjalny rekord Guinnessa w liczbie aktorów, którzy wcielali się w niego na wielkim i małym ekranie – a od tego czasu liczba produkcji tylko rośnie lawinowo. Fala popularności *Sherlocka* BBC przynosi kolejne seriale (jak zapowiadana produkcja Netfliksa), adaptacje (jak również współczesna wersja japońska, w której i Sherlock i Watson są kobietami albo dwie aż nowe produkcje rosyjskie) i tysiące (bez żadnej przesady) apokryficznych książek, opowiadań i słuchowisk (jak urocza polska perełka *Odcienie czerni* z Robertem Więckiewiczem w roli głównej). Istnieje wydawnictwo, które zajmuje się wyłącznie

wydawaniem książek na temat Sherlocka Holmesa, zarówno naukowych, jak i beletrystycznych. Gdyby ktoś postanowił tylko być na bieżąco z wszystkimi tymi propozycjami, to nie zdołałby, nawet gdyby wyrzekł się słuchania, czytania i oglądania czegokolwiek innego, rzucił pracę i zostawił rodzinę – a nie biorę tu przecież pod uwagę ponad stuletniej już historii sherlockowych filmów, książek i słuchowisk.

Czyżby zatem wszyscy kochali Sherlocka Holmesa? O, zdecydowanie nie. I nie mam tu na myśli pechowców, którzy trafili na niego za wcześnie, za późno, lub w szkole, tych, którzy nie lubią całego gatunku, albo widzą w opowiadaniach ACD (jak nazywają Doyle'a fani) tylko pocieszną ramotkę, wionącą lekko naftaliną i wiekiem gazowych latarni. Są ludzie, którym Holmes dosłownie zatruł całe życie, złamał karierę i prześladował ich w snach.

Jeremy Brett, wyjątkowy i budzący szczególną miłość fanów Holmes z adaptacji Granady z przełomu lat 80 i 90, w chwilach nasilenia choroby afektywnej dwubiegunowej, na którą cierpiał, roił sobie, że sam jest Sherlockiem. O tym, jak bardzo granie postaci Sherlocka Holmesa spotęgowało problemy psychiczne tego wspaniałego aktora powstała nawet sztuka. Basil Rathbone, jeden z najpopularniejszych Holmesów w historii, znany z serii czarno-białych jeszcze filmów z lat II wojny światowej oraz słuchowisk, był zachwycony, gdy otrzymał rolę już wówczas uwielbianego detektywa. Kilka lat później – jak zbawienia wyczekiwał zakończenia kontraktu i snuł się po planie niczym wyzute z emocji i energii zombie.

A przecież nawet Rathbone nie nienawidził detektywa nawet w połowie tak mocno, jak ten, który Sherlocka Holmesa wymyślił, zwany przez nas ACD.

I znów wyobraźmy sobie Brytyjczyka o nienagannych manierach, któremu zamarzyło się odcisnięcie śladu w sercach i umysłach potomnych. Przeżył wiele przygód – między innymi, jak Melville, na statku wielorybniczym – z pewnym trudem rozkręcił karierę lekarską, spotkało go sporo osobistych tragedii, gruźlica i śmierć pierwszej żony, alkoholizm i choroba psychiczna ojca, potem też utrata syna. Czuł, że ma wiele do przekazania i pragnął pisać dzieła poważne, wzbogacające intelekt oraz wzmacniające ducha. Nie spodziewał się, że jego życie na zawsze odmieni historyjka, którą ułożył w oczekiwaniu na zbyt nielicznych pacjentów, wspominając jednego z ekscentrycznych wykładowców Uniwersytetu w Edynburgu, i sprzedał do „Beeton’s Christmas Annual” w roku 1887. Początkowo popularność historyjek o Sherlocku Holmesie naturalnie cieszyła doktora na dorobku. Z czasem jednak postać zaczęła autora nużyć, a nawet przeszkadzać w realizacji ambitniejszych planów. Możemy sobie tylko wyobrażać, jak czuł się ACD, kiedy zebrał się na odwagę, aby napisać list do Roberta Louisa Stevensona, którego ogromnie podziwiał, i w rewanżu za litanię komplementów otrzymał jakże uprzejmą odpowiedź treści „Historie o Sherlocku Holmesie, to dokładnie ten rodzaj opowieści, które lubię czytać, kiedy boli mnie ząb”.

W końcu rozdrażniony Doyle zaczął umyślnie żądać za kolejne opowiadania coraz wyższych stawek, w nadziei, że to zniechęci redakcję i uwolni go od koszmaru snującego się za nim faceta w głupiej czapce dorysowanej przez ilustratora i najwyraźniej dziecięcych

*Nawet Rathbone nie
nienawidził detektywa nawet
w połowie tak mocno, jak ten,
który Sherlocka Holmesa
wymyślił*

czytelników
wykupujących „The
Strand” z wypiekami
na półkach. Nic z
tego. Holmesa trzeba
było zabić. Doyle
wybrał dramatyczną
scenerię i z radością
zrzucił swojego

prześladowcę z wodospadu. Ulga była tym większa, że w tym samym czasie umarł ojciec ACD, i Doyle chciał w spokoju skupić się na żałobie. Jak zareagował, gdy zaczęły mu w niej nieoczekiwanie towarzyszyć grupki Londyńczyków, chodzące w czarnych opaskach, aby uhonorować śmierć ukochanego fikcyjnego detektywa – możemy sobie tylko wyobrazić. Julian Barnes, autor powieści o Doyle’u i George’u Edaljim, którego ACD uratował od skazania za niewinność, sugeruje, że nienajlepiej.

Co stało się dalej – wiemy: ACD przegrał sromotnie nierówną walkę z Sherlockiem Holmesem. Sam przywołał go do życia „ten jeden ostatni raz”, kiedy przyszła mu do głowy mroczna historia o bagnach i demonicznym psie, a brakowało mu detektywa. Potem po prostu ugiął się pod presją wydawców i czytelników. Gdy próbował wysłać upiora w czapce do Ameryki i pozwolił Williamowi Gillette’owi zrobić ze znienawidzonym detektywem wszystko, czego tylko ten sobie zażyczy, absurdalna dość adaptacja przygód Holmesa kończąca się ślubem z wyratowaną z opresji klientką wywołała istne tsunami popularności, jeszcze gorsze niż uwielbienie angielskich fanów.

I tak oto ACD mocą Sherlocka Holmesa w jego kolejnych ekranowych, książkowych, radiowych, komiksowych, growych i musicalowych wersjach ukształtował serca i umysły pokoleń. Ale to nie ostatni poziom ironii. Stało się tak bowiem między innymi dlatego, że autor tak tego bohatera nienawidził.

Gdyby potraktował go poważnie... Gdyby sam dbał o chronologię wydarzeń w świecie przedstawionym, nie pokręcił imion, sprawdził, czy istnieje w ogóle wąż, o którym napisał i, czy mógł on aby słyszeć komendy demonicznego mordercy – holmesolodzy nie mieliby tyle do roboty. A przede wszystkim: gdyby chciało mu się uczynić z Holmesa pełnokrwistą postać, nie byłby on tak niesamowicie plastyczny; nikomu nie przyszłoby do głowy, że mógłby być wiolonczelistką z Tokio na początku dwudziestego pierwszego wieku, warszawskim cwaniakiem w steampunkowej alternatywnej przyszłości i dobrym rosyjskim wujkiem, który nad samowarem i wódeczką rozwiąże każdy problem. ACD dał nam tylko genialny splot tropów, z których popkultura czerpała i czerpie w najróżniejszych konfiguracjach. I to wystarczyło.

Bohater ACD to nie tylko pierwszy popularny detektyw rozwiązujący zagadki kryminalne, odwieczny punkt odniesienia dla całego gatunku. To również brytyjski superbohater, którego mocą jest dedukcja, a tak naprawdę inteligencja – jak u równie brytyjskiego, i równie uwielbianego Doktora Who. Holmes jest do tego stopnia oczywistym symbolem wybitnego intelektu, że jego wizerunek zdobił kiedyś w Krakowie plakaty zachęcające mieszkańców do przemyślanego segregowania śmieci. ACD troszkę niekonsekwentnie próbował z niego zrobić „maszynę do dedukcji”, przynajmniej początkowo podkreślając (ustami Watsona), jak bardzo Holmes jest niezdolny do przeżywania

emocji i nieludzki. To żyła złota dla adaptacji, które mogą pójść znanym w science-fiction tropem kosmity, który fascynuje nas, bo jest tak inny, i za to go podziwiamy (jak startrekowy Spock), albo, jeszcze bardziej ukochanym – Pinokia, który chce być prawdziwym chłopcem (jak startrekowy Data). Jego wybitne zdolności dedukcyjne czasem wydają się wręcz magiczne, ale w odróżnieniu od superbohaterskich własności, które dane są tylko osobom pogryzionym przez radioaktywne pająki, fani czują, że mają je na wyciągnięcie ręki. Można nawet kupić poradnik o tym, jak nauczyć się „myśleć jak Sherlock Holmes”.

Conan Doyle, tworząc Sherlocka Holmesa, dał genialny splot tropów, z których popkultura czerpała i czerpie w najróżniejszych konfiguracjach

Holmes to również symbol niezwykle lubianej przez popkulturę epoki – mimo wszystkich szaleństw w adaptacjach jednoznacznie kojarzony jest ze

zmierzchem ery wiktoriańskiej. Ta wiktoriańskość opowiadań o detektywie już za życia Doyle’a stała się raczej wyrazem naiwnej tęsknoty za pewną estetyką, utraconym porządkiem, światem sprzed wielkich wojen i inwazji telefonów i samochodów. Tęsknoty, która, choć drastycznie idealizuje przeszłość, jest wyjątkowo żywa u wielbicieli detektywa co najmniej od czasu, gdy Basil Rathbone i Nigel Bruce snuli ekscytujące opowieści o świecie, w którym „zawsze jest rok 1895” dla publiczności udręczonej mrokami lat czterdziestych wieku dwudziestego.

A przecież najważniejszego wciąż nawet nie dotknęliśmy. Bo najważniejszy w opowiadaniach o Sherlocku Holmesie jest... Watson. Sancho Pansa naszego rycerza. Nasze, zwyczajne, oczy i uszy. Nasz przeciętny intelekt. Ale nieprzeciętne serce i niewiarygodny talent do opowiadania historii. Świat uwielbia historie o detektywach, czy szpiegach o wielu twarzach i bystrych kosmitach – to prawda. Ale ta jedna opowieść jest bardziej uwielbiana niż wszystkie, bo jest, naturalnie, przede wszystkim historią wspaniałej przyjaźni. Watson opowiada nam o człowieku, którego, mimo tylu wad, podziwiał i kocha. My posłusznie wielbimy Holmesa razem z nim, bo dobremu doktorowi nie można nie ufać – tego z kolei nauczył nas ktoś, kto kocha i podziwiał swojego Watsona, biografę i towarzysza, sam genialny Sherlock Holmes. Między nimi dzieje się coś, od czego nie potrafimy się oderwać od 150 lat. Spieramy się czasem, czy to przyjaźń, czy miłość, jak przedstawić tę relację najwierniej, pokazywali ją nam aktorzy i aktorki w różnym wieku, różnych ras, różnych płci, w kostiumach z epoki i w strojach znanych nam z ulic. Raz nawet i Holmes i Watson byli lekarzami. I nigdy nie mamy dość.

Żeby zabić Holmesa, ACD powinien był zabić Watsona. Jakie to szczęście, że nigdy na to nie wpadł!

Maja Białek



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego